

Czterdziestolecie śmierci doktora Tadeusza Kamzy – poznańskiego urologa. Przyczynek do zbiorowego portretu lekarzy w PRL

The fortieth anniversary of the death of Dr. Tadeusz Kamza
– a urologist from Poznan. Contribution to the collective portrait
of doctors in the People’s Republic of Poland

Halina Bogusz

Poznań

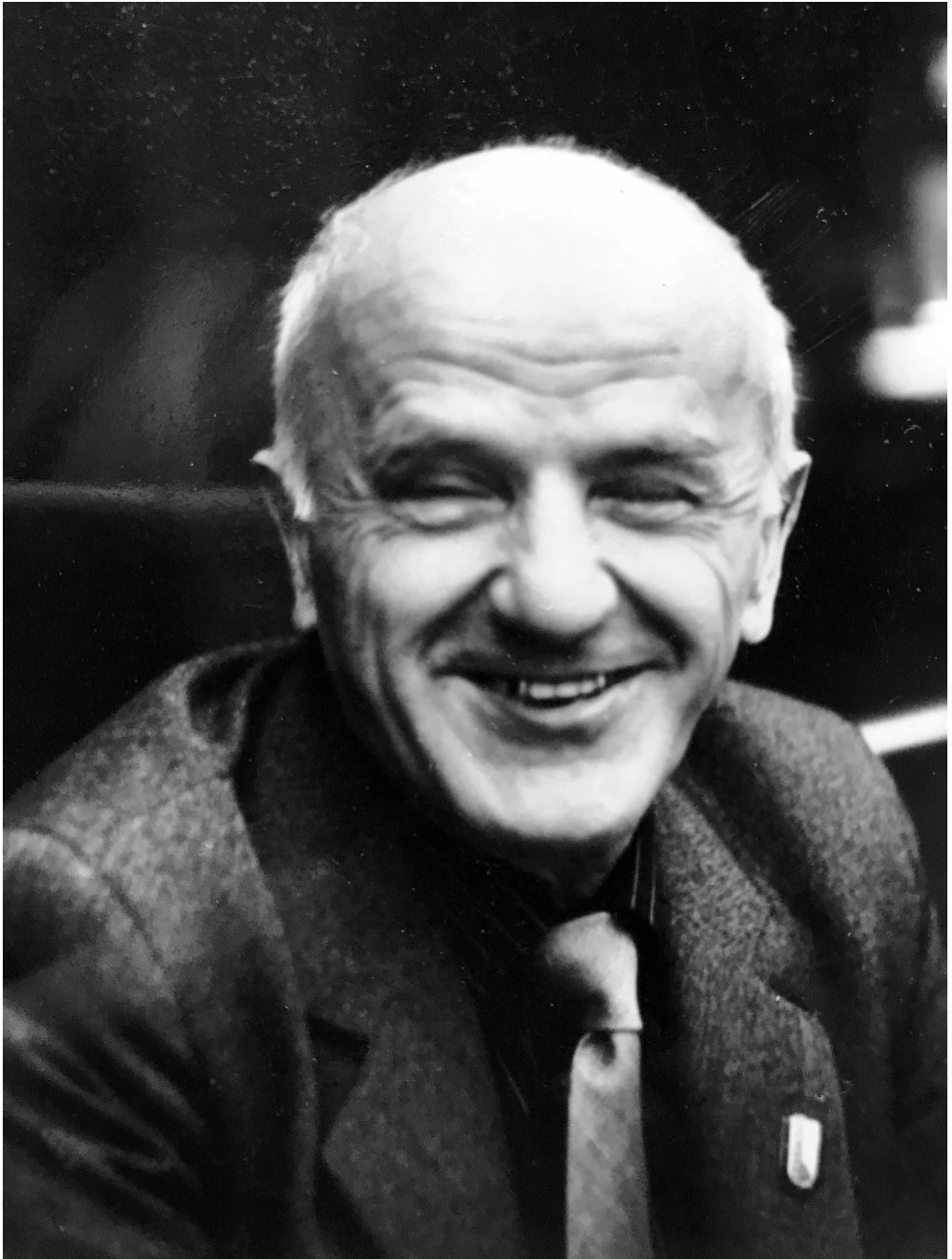
Streszczenie: Artykuł ma charakter osobistych wspomnień autorki o jej ojcu, doktorze Tadeuszu Kamzie (1921-1982), poznańskim urologu.

Abstract: The article is the author’s personal memories of her father, doctor Tadeusz Kamza (1921-1982), a Poznan urologist.

Słowa kluczowe: Tadeusz Kamza, historia urologii

Keywords: Tadeusz Kamza, history of urology

Na wąskim korytarzu Kliniki Urologii przy ulicy Szkolnej postać średniego wzrostu lekarza w stroju zabiegowym. Śniada twarz, ciemne oczy, mocno przerzedzone, siwe włosy okalają już tylko okolice potylicy i skroni. „Popatrz synek, patrz jak się udało” – roześmiane oczy wskazują na trzymany w ręku przedmiot – pętlę Zeisse’a, w której oczku tkwi mały nieregularny kształt. Nie zawsze usuwanie kamienia moczowodowego tak się kończy, dlatego operator dzieli się swoją radością z kolegą. Takim go zapamiętali. Nie mogli wiedzieć, że to było ich ostatnie spotkanie i że za kilkanaście dni przyjdzie im dźwigać na ramionach trumnę z jego ciałem. Był luty 1982 roku. Kiedy następnego dnia nie pojawił się w pracy, nikt się nie zdziwił. Nieobecność doktora była przewidywana, ale jej powodem miał być, jak co roku, wyjazd do sanatorium w Polanicy. Zamiast tego znalazł się na Oddziale Intensywnej Terapii szpitala przy ulicy Lutyckiej. Rozległy, drugi zawał zniszczył jego serce nieodwołalnie. Zmarł 25 lutego 1982 roku.



Tadeusz Kamza (1921-1982)

Franciszek Tadeusz Kamza urodził się 2 kwietnia 1921 r. w Lesznie i już miejsce urodzenia było dla mnie – jego córki – zawsze dziwne i tajemnicze. Tajemnicze jak rodzina Kamzów, której korzenie i pochodzenie szybko giną we mgle domysłów i niepamięci. Znamy tylko ojca Tadeusza – Feliksa, którego kilku braci w 1918 r. wyjechało i osiadło w Niemczech. Feliks jako jedyny pozostał w Polsce. Mówiono, że to dzięki wpływowi jego żony – Elżbiety z Fabisiów, rodziny pochodzącej z Babimojszczyzny, w której żywe były polskie tradycje patriotyczne. Feliks trudnił się zarządzaniem majątkami rolnymi i gorzelniami. To zmuszało całą rodzinę do częstych przeprowadzek.

Tadeusz był najmłodszym dzieckiem Feliksa i Elżbiety. To było drugie imię, ale używane właściwie całe życie jako główne. Tylko dokumenty urodzenia i śmierci zachowały Franciszka. Jako ostatni z siedmiorga dzieci był szczególnie ukochanym przez Matkę. To ona zdecydowała, że aby mógł się dostać do dobrego gimnazjum, w dziewiątym roku życia przeniósł się do Poznania i rozpoczął naukę w prywatnej szkole podstawowej. Matka i reszta rodzeństwa także zamieszkali w tym mieście. Otworzyła sklep papierniczy na Górnej Widzie, gdzie po zamknięciu każdego wieczora chłopcy zabierali się do odrabiania lekcji. Przedtem pomagali w obsłudze klientów lub zaopatrywaniu sklepu. Po roku nauki w prywatnej szkole Tadek został uczniem klasy humanistycznej Gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego. Do szkoły chodził pieszo, bo bilety tramwajowe były drogie. Zabierał ze sobą kanapki z wiejskiego chleba z miodem, przywożonego przez ojca z Nekli i zamieniał się z kolegami na miejskie, chrupiące bułeczki z szynką. Fascynowało go malarstwo i literatura – marzył o studiach na krakowskiej ASP. Nie budziło to entuzjazmu rodziców i nie wiadomo, co by się stało, gdyby nie historia. Ta, która druzgocącym walcem wtoczyła się w ich życie 1 września 1939 r., kiedy to maturzysta Tadeusz myślał jeszcze o wyborze studiów. Wojna i okupacja rozproszyła rodzinę. Siostry skierowano do pracy przymusowej, najstarsza Maria, która jeszcze przed wojną uzyskała dyplom lekarza, została lekarzem rodzinnym w Sęszewie. Potrzebowała kierowcy i został nim Tadeusz. W ten sposób po raz pierwszy zetknął się bliżej z chorymi i z lekarskimi zadaniami.

Przykład siostry był inspirujący. Po zakończeniu wojny Tadeusz wybiera studia na wydziale lekarskim. Razem z nim rozpoczyna naukę inna siostra, Zofia, która nie zdołała zrealizować swojego pragnienia przed wojną, gdyż rodziny nie było stać na drugą studentkę. Wspominał te studia z sentymentem nie mniejszym niż przedwojennego „Marcinka”. Egzaminu u prof. Stefana Różyckiego, Krauzego, czy Zdzisława Stolzmana zostały mu w pamięci na długie lata.

Tak więc z siedmiorga rodzeństwa mamy trójkę lekarzy. Maria wybrała specjalizację z psychiatrii, Zosia związała się zawodowo ze szpitalem prof. Wiktora Degi i zajmowała się rehabilitacją dzieci, Tadeusz znalazł pracę w Szpitalu Miejskim im. Józefa Strusia przy ulicy Szkolnej, na oddziale urologicznym dra Zbigniewa Bartkowiaka. Specjalizował się więc najpierw w chirurgii, a następnie w urologii.

Na oddziale dra Bartkowiaka panowały żelazne zasady i na pewno tutaj można się było nauczyć solidnego lekarskiego rzemiosła. Problemów nie uznawano. Kiedy Tadeusz po raz pierwszy pojawił się na sali operacyjnej, jego starsi koledzy pośpieszyli donieść ordynatorowi, że nowy operator jest ... mańkutom. To spowodowałyby

konieczność przeorganizowywania sali na operacje Kamzy, innego ustawienia asysty i instrumentariuszki. Dr Bartkowiak spojrział na młodego adepta sztuki lekarskiej i powiedział spokojnie: „Kolego, przecież wy jeszcze żadną ręką nie potraficie operować – w takim razie będziecie operować prawą” – i tak też się stało. Tadeusz stał się oburęczny.

Urologia do której trafił – jak sam opowiadał – właściwie przez przypadek porwała go. Myślał o pracy naukowej, był aktywnym członkiem Polskiego Towarzystwa Urologicznego, w latach 1967-1969 – sekretarzem. Opublikował kilka artykułów. W sprawach naukowych współpracował z docentem Bronisławem Stachowskim, neurochirurgiem. Był także konsultantem urologicznym w Szpitalu dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Kościanie.

Jego pasje artystyczne odżyły z pewnością także dzięki żonie, Alicji Karłowskiej, która była historykiem sztuki. Po ślubie, w 1962 r. zamieszkali w mieszkaniu Tadeusza przy ulicy Ratajczaka, gdzie mieszkaly także jego siostry. Wkrótce przyszły na świat dzieci: Paweł (1963) i Halina (1965).

Tadeusz był wielokrotnie pierwszym konsultantem i recenzentem pomysłów żony, zarówno naukowych jak i organizacyjnych. Zawsze niezwykle dumny z jej sukcesów, wspierał jej działalność, także jako prodziekana i dziekana. Wiele radości sprawiały mu wspólne podróże i zwiedzanie kościołów, miast, zamków, muzeów, nawet w tak ograniczonym zakresie jaki wyznaczała komunistyczna rzeczywistość.

Tadeusz Kamza – co nie było w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych oczywiste ani powszechne – prowadził prywatną praktykę. Mieszkanie przy ulicy Ratajczaka pełniło także kilka razy w tygodniu rolę prywatnego gabinetu. Pamiętam łśniący stół z poustawianymi buteleczkami i stalowymi puszkami na narzędzia. Był tam także fotel ginekologiczny i kozetka do badania pacjentów. Biurko, szafa z wieloma „lekarskimi” książkami. Poczekalnią stawał się, w godzinach przyjęć, długi korytarz z rzędem krzeseł. W szufladzie biurka tkwiły karty pacjentów, zapisane drobnym mackiem lekarskiego pisma. Pamiętam oczekujących pacjentów, ich rozmowy przyciszonymi głosami, niekiedy trochę zniecierpliwienia dłużącym się oczekiwaniem. Wizyty nie trwały krótko – dr Kamza lubił pogawędki z pacjentami, wiedział wiele o ich życiu rodzinnym, zawodowym, pasjach i troskach. Wielu z nich z czasem stawało się jego znajomymi albo przyjaciółmi. Byli wśród nich duchowni, także dominikanie. Z tym zakonem łączyła Tadeusza szczególna więź już od czasów studiów, kiedy był uczestnikiem duszpasterstwa akademickiego, z którym i dzięki któremu spędził wiele wspaniałych wakacji: w Międzyzdrojach, na Mazurach czy w Bieszczadach.

Wiara i Kościół były dla niego sprawami wielkiej wagi. Był zdecydowanie synem Kościoła, angażował się w jego życie zarówno w Parafii św. Marcina jak i przez osobistą znajomość z wieloma księżmi, nie wyłączając biskupów. We wszystkich tych kontaktach cechowała go jednak zawsze skromność i coś, co można chyba nazwać niemodnym dziś słowem „pokora”.

Uwielbiał ludzi i kontakty z nimi. Był niezwykle towarzyski. Miał też wielu przyjaciół i wiele uwagi poświęcał podtrzymywaniu kontaktu z nimi. Przed świętami Bożego Narodzenia zawsze stół w jego pokoju był zaślany przygotowywaną korespondencją. Razem z żoną wysyłali przeszło dwieście życzeń każdego roku. Niezwykle

ważny w kontaktach był też telefon, wtedy nie było to powszechne. Czarny, ebonitowy aparat telefoniczny stał oczywiście w gabinecie lekarskim. Wieczorem był w częstym użyciu. Wiele razy wyjaśniał różne zawiłości medycyny stroskanym chorym lub też przekazywał wskazówki, gdzie i jak zgłosić się na leczenie...

Jako lekarz sumiennie przestrzegał kwestii tajemnicy lekarskiej. Bywało, że jego własna żona o chorobie kogoś znajomego lecącego się u męża dowiadywała się „na mieście”. Nigdy od niego samego. Swoich współpracowników traktował z dużą serdecznością i otwartością, wszystkich nazywając ulubionym określeniem „synek”. Starał się o dobrą atmosferę w zespole, co było szczególnym wyzwaniem po połączeniu zespołu Kliniki Urologii, przeniesionej ze Szpitala *Przemienienia Pańskiego* z zespołem oddziału Szpitala Miejskiego. Nie należał do partii. Jego postawa i poglądy zaszkodziły rozwojowi kariery, ale nie to było dla niego najważniejsze. Chorzy i koledzy z oddziału zapamiętali jego spokój, profesjonalizm i życzliwość. Był jednym z wielu lekarzy tamtych czasów, którzy pozostali w cieniu. Oparli się koniunkturalizmowi. Tworzyli jednak zbiorowy portret lekarza cieszącego się zaufaniem społecznym, traktującego swoją misję niesienia pomocy chorym jako nadrzędne, życiowe zadanie.